

# WYBORY PREZYDENCKIE W USA: KTO POPRAWI AMERYKĘ PO BUSHU?

*Paweł Burdzy*

TAKIEGO SKRÓCENIA KALENDARZA WYBORCZEGO W AMERYCE JESZCZE NIE BYŁO. CHOCIAŻ PIERWSZE PRAWYBORY ODBĘDĄ SIĘ DOPIERO W STYCZNIU, A DO ELEKCJI PREZYDENTA USA POZOSTAŁO AŻ DWANAŚCIE MIESIĘCY, KAMPANIA TRWA W NAJLEPSZE OD CO NAJMNIJ PÓŁ ROKU. I NA ROK ZANIM AMERYKANIE PÓJDĄ DO URN „W PIERWSZY WTOREK PO PIERWSZYM PONIEDZIAŁKU LISTOPADA” WSZYSTKICH NURTUJE TYLKO JEDNO PYTANIE: KTO (JEŚLI W OGÓLE TO MOŻLIWE) MOŻE ZATRZYMAĆ HILLARY CLINTON?

To najciekawsze i najbardziej otwarte wybory prezydenckie od osiemdziesięciu lat, gdyż nie startuje ani urzędujący prezydent bądź wiceprezydent. Już teraz wytworzyła się grupa liderów zarówno po stronie Demokratów jak i Republikanów. Wydaje się, że to z tej czołowej szóstki wyłoniony zostanie przyszły, 44. prezydent USA. Ostatnie zbiorcze sondaże pokazywały, że liderami Partii Demokratycznej są (dane na pierwsze dni października): senator Hillary Clinton 48,2 proc., senator Barack Obama 22,6 proc. i dalej, już z wyraźną stratą, były senator John Edwards 11,6 proc. Po stronie Partii Republikańskiej prowadzi były burmistrz Nowego Jorku, Rudolph Giuliani, 30,2 proc. a za nim były senator Fred Thompson 19 proc. (pomimo że oficjalnie jeszcze nie wystartował) oraz senator John McCain z 13 proc. Chyba, że do walki włączy się dwóch wielkich nieobeenych, aczkolwiek zapowiadanych

kandydatów: demokrata Al Gore (były wiceprezydent, który po przegranej kampanii 2000 r. trzyma się na uboczu polityki) i obecny burmistrz Nowego Jorku, miliarder, Michael Bloomberg (kandydat niezależny, świeżo po wystąpieniu z Partii Republikańskiej).

Na rok przed wyborami jest jednak tylko jeden zdecydowany faworyt: Hillary Clinton. Była pierwsza dama (1993-2001) i senator z Nowego Jorku (od 2001 r.) idzie jak burza – w trzecim kwartale zebrała więcej funduszy na kampanię niż jej główny rywal do nominacji, Obama, (tradycyjna oznaka siły kandydata, o czym poniżej), jej przewaga w sondażach na początku października wzrosła nawet do 33 proc. a w hipotetycznym starciu wygrywa z każdym kandydatem Partii Republikańskiej. Jej sytuacja jest tak dobra, że zdaniem wielu, te wybory pani Clinton może jedynie przegrać na własne życzenie, gdyż żaden z innych kandydatów nie prowadzi tak dobrze zorganizowanej i zdyscyplinowanej kampanii. Z drugiej strony warto pamiętać, że podczas poprzedniej kampanii absolutnym liderem w walce o Biały Dom był ... demokrata Howard Dean, który poległ w jednych z pierwszych prawyborów i ostatecznie nie zdołał nawet zdobyć nominacji Partii Demokratycznej. Jeszcze inni zadają sobie pytanie czy Amerykanie są gotowi na dynastię: bo gdyby udało się Hillary wygrać, mieliby na zmianę w Białym Domu przez 24 lata Busha lub Clinton, z możliwością przedłużenia tego przekładańca o kolejne cztery lata.

W coraz większym stopniu kampanie prezydenckie w USA charakteryzują się pewną cyklicznością. Chodzi o cykle informacyjne, gdy jedni kandydaci, albo zagadnienia zdają się władać umysłami Amerykanów, aby po kilku tygodniach ustąpić innym zagadnieniom. W dobie internetu, kilku telewizyjnych kanałów informacyjnych nadających w formacie 24/7 i – mniej znanego w Polsce talk radio – te cykle informacyjne są coraz krótsze, tempo, jakiemu poddani są kandydaci, coraz większe, a stopień egzaminowania kandydatów, ich życiorysów, zgodności czynów z głoszonymi poglądami właściwie nieograniczony. Mówiąc w skrócie, każda sprawa może zostać wywleczona na światło dzienne, a kandydat musi umieć przekonywująco wybrnąć z każdej opresji. Prawyborcy są takimi morderczymi eliminacjami, które mają wyłonić dwóch, „ogniem próbowanych” kandydatów, z których tylko jeden zostanie prezydentem USA.

Najpierw ekscytował wszystkich republikański senator John McCain. Najstarszy w stawce, 70-letni bohater wojny w Wietnamie (lotnik, spędził 5,5 roku w wietnamskiej niewoli). Jako polityk, przeciwnik politycznej korupcji i reformator, próbował ustawić się na naturalnego następcę Busha. Problem w tym, że Bush jest obecnie najbardziej nie lubianym prezydentem od czasów Nixona i powoływanie się na niego tylko ciągnie kandydata w dół. McCain, który stara się uczynić ze stałości poglądów cnotę (zawsze popierał interwencję w Iraku, choć krytykował jej wykonanie), zaczyna odczuwać na własnej skórze, że stanie blisko obecnego prezydenta jest bardzo niepopularne. I tak, z miesiąca na miesiąc gwiazda kandydata błednie, tak że pod koniec czerwca musiał walczyć o zdobycie funduszy i ponowne osiągnięcie w sondażach dwucyfrowego wyniku.

Później Republikanów porwał Mitt Romney, były republikański gubernator stan Massachusetts najbardziej liberalnego (lewackiego) ze stanów. Ku zaskoczeniu wielu zebrał spore poparcie i – co najważniejsze – dziesiątki milionów na prowadzenie kampanii. Szybko się okazało, że zamroczenie GOP (*Grand Old Party* – jak nazywa się Republikanów) Romneyem nie trwała zbyt długo, na co wpływ miał fakt częstej zmiany poglądów i wyznawania wiary mormonów. W zimowe tygodnie narodziła się kolejna gwiazda republikańskich prawyborów – Rudolph „Rudy” Giuliani. Legendarny „burmistrz Ameryki”, który dzięki rządowi żelaznej ręki wyprowadził Nowy Jork na prostą po latach finansowej ruiny i bandytyzmu na ulicach. Jego legendę przypieczętowała postawa w czasie zamachów terrorystycznych 11 września 2001 r. Kiedy wydawało się, że w cuglach będzie płynął ku nominacji, Republikanie zaczęli się mu przyglądać jeszcze bardziej (wyszło na to, że w kwestii aborcji i homoseksualistów jest bardzo na lewo) i w efekcie poparcie zaczęło spadać.

Kiedy wydawało się, że Republikanów nie jest już w stanie wprawić w entuzjazm żaden z kandydatów, pojawiła się kandydatura aktora znanego serialu „Law and order” (także w Polsce, pod tytułem „Prawo i porządek”), byłego senatora, Freda Thompsona. W swojej karierze ogrywał już bardzo ważnych polityków, a jego poglądy zdają się pasować przeciętnemu wyborcy Partii Republikańskiej i mają coś z ducha konserwatywnego optymizmu Reagana. Dla wielu obserwatorów Thompson, który ostatnie kilka lat spędził poza polityką, to ostatnia szansa GOP na Białą Dom. Ale

zadanie przed nim karkołomne, gdyż wlanie optymizmu w koalicję „rozczarowanych, złych i zapatrzonych w siebie, którzy porzucili optymizm Reagana i próbują grać na strachu przed terrorem i imigrantami” (jak opisał Partię Republikańską jeden z publicystów)<sup>1</sup>, przerosłoby samego Ronalda Reagana.

## U DEMOKRATÓW: POJEDYNEK DWOJGA SENATORÓW

Wśród kandydatów Partii Demokratycznej od początku poważnie o nominację walczyły dwoje kandydatów. Najpierw w świetle reflektorów znalazła się senator z Nowego Jorku i była pierwsza dama, Hillary Clinton, kiedy ogłosiła przystąpienie do walki o Biały Dom. Decyzję o kandydowaniu oficjalnie ogłoszono w styczniu, choć pani senator prowadziła kampanię prezydencką od kilku lat (niezyczliwi kandydatce twierdzą, że tak naprawdę nigdy jej nie przestała prowadzić, a jedynie kontynuowała wcześniejszy wysiłek u boku męża, Billa Clintona). I kiedy wydawało się, że nie odbierze pani Clinton pozycji murowanej faworytki do nominacji Partii Demokratycznej, udział w wyborach zadeklarował czarnoskóry senator B. Obama. Przez kilka tygodni zapanowała w Ameryce istna „Barack-omania”, a przemierzający Amerykę kandydat gromadził nie tylko dziesiątki tysięcy zwolenników, ale dziesiątki milionów kampanijnych datków.

## PRZEDE WSZYSTKIM PIENIĄDZE

W tym miejscu ważne wyjaśnienie. Aby w ogóle w prawyborach zaistnieć, trzeba zebrać spore fundusze na prowadzenie kampanii. System wybory przewiduje, co prawda, dotacje z budżetu państwa, ale wydatki idą w miliony i poważni kandydaci, aby wygrać, prawie połowę czasu spędzają na zbieraniu datków. Biorąc pod uwagę ograniczenia ilościowe (do 2,5 tys. dolarów w cyklu wyborczym na obywatela), sztuka polega na dotarciu do jak najszerszej bazy donatorów. Umiejętność zbierania funduszy jest jednym z głównych kryteriów siły i sprawności. Wyniki za drugi kwartał wprawiły wielu obserwatorów w prawdziwe osłupienie, albowiem absolutnym liderem okazał się senator Obama zbierając w tym okresie 32,5 mln dolarów (od blisko 258 tys. donatorów), zdeklasował on rywali: następną, Hillary Clinton, zebrała o dziesięć milionów mniej, żaden z Republikanów

nie zbliżył się nawet do 15 mln. I choć w kolejnym kwartale pani Clinton znów wróciła na pierwsze miejsce, to Obama dalej zachowuje szanse na skuteczne konkurowanie z nią w prawyborach, podczas gdy senator Edwards prawdopodobnie zdecyduje się na finansowanie z kasy państwowej i wiążące się z nim poważne ograniczenia.

Ale gwiazda Obamy może szybko zblednąć, gdyż 7 lipca odbył się wielki koncert „Live Earth” organizowany przez Gore’a. Od czasu porażki wyborczej były wiceprezydent stał się wręcz prorokiem walki z globalnym ociepleniem. Otrzymał Oscara za film o zagrożeniach z emisją dwutlenku węgla do atmosfery. Udany koncert na wszystkich kontynentach miał utrwalić renomę Gore’a i być doskonałą platformą do ogłoszenia zamiaru walki o Biały Dom. Najbardziej oczekiwany z dotychczas niezgłoszonych kandydatów dał próbkę moralizatorskich haseł, pod jakimi mógłby walczyć o zwycięstwo wzywając USA do podpisania nowego traktatu, który zmniejszyłby „zanieczyszczenia powodujące efekt cieplarniany o 90 proc. w krajach rozwiniętych”. Nazywał to posunięcie „moralnym wyzwaniem, które wpłynie na przetrwanie cywilizacji człowieka”<sup>2</sup>. Pozycję Gore’a jeszcze bardziej wzmocniło przyznanie mu w początkach października pokojowej Nagrody Nobla. Jednak sam wiceprezydent nie wydaje się zbyt entuzjastą wyścigu o Biały Dom, co skłania wielu obserwatorów do domysłów, że będzie raczej starał się wesprzeć któregoś z dwójki kandydatów – Clinton, Obama.

## ZMĘCZENI BUSHEM I IRAKIEM

W sondażowych pojedynkach kandydatów powtarza się prawidłowość – zwycięża kandydat Partii Demokratycznej, co dobrze oddaje zmęczenie Amerykanów siedmioletnimi rządami obecnego gospodarza Białego Domu, G.W. Busha i jego największą klęską polityczną: ciągnącą się kolejny rok wojnę w Iraku. Obecny prezydent ma najniższe notowania popularności od czasu, gdy prezydent Nixon rezygnował uwikłany w aferę Watergate. Dodatkowo, jak sugeruje poważna analiza wyborców niezależnych przepro-

---

1) E.J. Dionne Jr., *The GOP's Identity Crisis*, Washington Post, 15 czerwca 2007 r.

2) Al Gore, *Moving Beyond Kyoto*, New York Times, 7 lipca 2007 r.

wadzona przez dziennik „Washington Post”<sup>3</sup>, mogą oni gremialnie zagłosować na kandydata Partii Demokratycznej z powodu „rozczarowania obecnym prezydentem i sprzeciwem wobec wojny w Iraku”. Jednak Demokraci wcale nie mogą czuć się zbyt pewnie, bo Kongres, w którym dzierżą większość od stycznia 2007 r., cieszy się jeszcze mniejszym poważaniem – według ostatnich badań Instytutu Gallupa prace parlamentu aprobejuje jedynie 24 proc. Amerykanów (przy najwyżej 34 proc. dla Busha).

W tej sytuacji coraz głośniej pojawiają się spekulacje o możliwości głosowania na „trzeciego” czyli kandydata niezależnego. Jak dotąd nikt się oficjalnie nie zgłosił, choć coraz większe spekulacje dotyczą burmistrza Nowego Jorku, Bloomberga. Włodarz „miasta, które nigdy nie śpi” dał się poznać jako bardzo sprawny menedżer, który sukcesami w naprawie finansów miasta oraz wprowadzaniu ładu i porządku na ulicach przyćmił nawet swego poprzednika, Giulianiego. Dodatkowo przed paroma tygodniami zrezygnował z członkostwa w Partii Republikańskiej, co przy jego dość lewicowych, jak na standardy amerykańskie, poglądach może sprawić, że będzie on atrakcyjnym kandydatem dla wyborców środka, zmęczonych ostrą polityczną wojną Demokratów z Republikanami. Nie bez znaczenia jest fakt, że Bloomberg jest miliarderem (zarobił na agencji informacyjnej Bloomberg News) i sam sfinansowałby sobie kampanię. Prasa sugeruje, że jest gotów wydać na kampanię z własnej kieszeni... okrągły miliard dolarów. To więcej niż wydatki całej reszty kandydatów razem wziętych. Przeciw Bloombergowi jest jednak historia: nigdy do tej pory w wyborach prezydenckich nie zwyciężył kandydat spoza dwóch głównych partii.

## NAJWAŻNIEJSZY IRAK

Oczywiście na tak wczesnym etapie kampanii, kandydaci nie prezentują wizji polityki zagranicznej, pomni tego że prawybory wygrywa się głównie programami dotyczącymi polityki wewnętrznej. I tak jest w tym roku, z jednym wyjątkiem – chodzi oczywiście o wojnę w Iraku. To bez wątpienia najważniejsze zagadnienie kampanii, o czym – według sondaży – przekonanych jest ponad dwie trzecie Amerykanów. Dla głównych kandydatów Demokratów sprawa jest prosta: trzeba zakończyć wojnę w Iraku i sprowadzić do kraju stacjonujące tam amerykańskie wojska. Senator Clinton choć głosowała w 2002 r. za inwazją, teraz chce jak najszybszego zakończenia

„wojny, za którą odpowiedzialny jest G.W. Bush” i stopniowej redukcji liczebności amerykańskich wojsk. Natychmiastowej redukcji o 40-50 tys. żołnierzy domaga się z kolei senator Edwards, który także głosował za inwazją, choć teraz głosu tego „żałuje”. Senator Obama od samego początku był przeciw wojnie w Iraku, teraz chce „skupienia się na nowo na szerzej pojmowanym Bliskim Wschodzie” i przerwania części wojsk z Iraku do Afganistanu. Warto zaznaczyć, że cała trójka znajduje się pod bardzo dużym naciskiem bardzo silnej, lewicowej i antywojennej frakcji Partii Demokratycznej.

Liderzy republikańskich prawyborów generalnie popierają politykę prezydenta Busha stabilizowania sytuacji w Iraku i przeciwstawiają się „narzucaniu sztucznych dat” wyprowadzenia wojsk. Giuliani chce jasnych kryteriów oceny powodzenia operacji wojskowych, Thompson wspomina o konieczności konsultacji z Irakijczykami w tej sprawie, a McCain żąda „niezbędnego wsparcia” Kongresu (fundusze) dla walczących oddziałów.

## WYBÓR DLA POLSKI: CLINTON, OBAMA, MCCAIN

Inne zagadnienia polityki zagranicznej pozostają raczej w cieniu, choć Republikanie i Demokraci spierają się jeszcze o ostrość reakcji wobec planów nuklearnych Teheranu (Republikanie optują raczej za rozwiązaniem siłowym, Demokraci za dyplomacją) oraz plany wobec milionów nielegalnych imigrantów (głównie z Meksyku i państw Ameryki Środkowej).

Z punktu widzenia Polski i Unii Europejskiej bardzo dobrym wyborem byłaby prezydent Clinton. Dziedziczy ona po administracji swego męża Billa Clintona, nie tylko sztab wybitnych fachowców od polityki zagranicznej, ale także pro-europejskie i pro-NATOwskie nastawienie. Większy nacisk na międzynarodową współpracę i dyplomację, niż na jednostronne działania. Poza tym, jako senator ze stanu Nowy Jork jest wyczulona i rozumie sprawy polskie. Legendarne są też zdolności zapoznawcze pani

---

3) Dan Balz, John Cohen, *A Political Force With Many Philosophies*, Washington Post, 1 lipca 2007 r.

Hillary – każdy spotkany chociaż raz podczas jej licznych zagranicznych wояaży, może liczyć na list z życzliwym słowem i obecność na liście „znajomych”. Zdaniem tygodnika „Economist”, Hillary wspierana przez swego męża Billa może być lekarstwem „po siedmiu latach maczyzmu i niekompetencji” administracji Busha i to właśnie pani Clinton (wraz z mężem) poprawić pozycję Ameryki, „zniszczoną w znacznym stopniu przez wojnę, Guantanamo i więzienie Abu Ghraib, oraz arogancki sposób w jaki traktowano międzynarodowe instytucje i porozumienia”.<sup>4</sup>

Senator Obama to prawdziwy fenomen. Syn Kenijczyka i białej Amerykanki jest – jak sam uważa – najlepszym dowodem na to, że „amerykański sen” jest wiecznie żywy. Pomimo koloru skóry i niewielkiej zamożności rodziców, ukończył jedną z najbardziej prestiżowych szkół prawniczych w Harvardzie. Jego kandydatura wzbudza ogromny entuzjazm i od czasu spekulacji na temat możliwego startu generała Collina Powella w 1996 r. (nota bene przyznał, że doradza Obamie) żaden czarńskóry polityk nie był poważnie brany pod uwagę jako kandydat do Białego Domu.

W kwestiach polityki zagranicznej Obama ma kilka przewag, prezentuje – niezłym kiedyś John F. Kennedy – ambicję i idealizm. Opublikował nawet w Foreign Affairs swego rodzaju manifest „Odnowić amerykańskie przywództwo”, a w nim m.in. „musimy w sposób odpowiedzialny zakończyć wojnę w Iraku i odnowić nasze przywództwo – wojskowe, dyplomatyczne, moralne – stawić czoła nowym zagrożeniom i wykorzystać nowe możliwości. Ameryka nie może w pojedynkę stawiać czoła wyzwaniom tego stulecia, a świat nie poradzi sobie z nimi bez Ameryki”<sup>5</sup>. Z drugiej strony, nie jest tradycyjnym liberałem (czytaj: przedstawicielem lewackiego skrzydła Partii Demokratycznej) i „nie będzie się wahał przed użyciem siły”, gdy żywotne interesy USA byłyby zagrożone. Chce wzmocnienia NATO, poszuka nowych sojuszników w Azji, zatrzyma mordowanie chrześcijan w Darfurze, wspomóże działania pokojowe na Bliskim Wschodzie oraz będzie głosem najbiedniejszych tego świata. Z drugiej strony, twarde negocjacje w kwestiach związanych z liberalizacją handlu, wolny rynek tak, ale pod warunkiem obowiązywania amerykańskich standardów dotyczących pracy i środowiska.

Jeśli zostanie wybrany, prezydent Obama miałby największy chyba z obecnych kandydatów kredyt zaufania i szansę na „nowe otwarcie”



w polityce zagranicznej USA. Jego krytyka inwazji irackiej oraz obozu dla wrogów Ameryki w bazie Guantanamo pozwala na zerwanie z negatywizmem, jaki wywołuje obecna administracja. Dla Polski i Polaków ważne jest to, że Obama reprezentuje stan Illinois, w którym znajduje się miasto będące jednym z największych skupisk Polaków na świecie, Chicago. Były senator Edwards jest reprezentantem populistycznego skrzydła swej partii, stąd można się spodziewać elementów izolacjonistycznych, zwłaszcza pod hasłami obrony miejsc pracy w Ameryce przed tanimi robotnikami zza granicy.

Republikańscy kandydaci gwarantują raczej asertywną politykę zagraniczną (dokończenie wojny z terrorystami, zaprowadzenie porządku w Iraku, bardzo twarda linia wobec Teheranu, przeciwstawianie się Moskwie), chociaż zapewne odejście od unilateralizmu prezentowanego tak często przez Busha. Senator McCain jest znanym entuzjastą NATO i bliskiej współpracy transatlantyckiej. Razem z ówczesnym senatorem Thompsonem głosował w 1998 r. za rozszerzeniem NATO o Polskę, Czechy i Węgry. Najpoważniejszy kandydat do nominacji – Rudy Giuliani proponuje z kolei drogę ku „realistycznemu pokojowi” poprzez zrównoważenie wpływu „realizmu i idealizmu” w polityce zagranicznej USA. Jak to zrobić? Giuliani twierdzi, że „idealizm powinien definiować ostateczne cele, realizm powinien odnajdywać drogi dojścia, aby te cele osiągnąć”. Kandydat opowiada się za utrzymaniem potęgi militarnej USA, bardziej „zdeterminowaną” dyplomacją i wzmocnieniem instytucji międzynarodowych. W tym kontekście Giuliani wspomina o wyzwaniach dla NATO: to przeciwdziałanie „poważnym zagrożeniom dla systemu międzynarodowego, czy to w postaci agresji terytorialnej czy ataków terrorystycznych”. Jego zdaniem, NATO musi się zmieniać a jego członkowie „zawsze powinni dbać, aby ich retoryczne zobowiązania szły w parze z działaniem i inwestycjami”.<sup>6</sup>

---

4) “The Economist” z 6 października 2007 r.

5) Barack Obama, *Renewing American Leadership*, Foreign Affairs, lipiec- sierpień 2007 r.

6) Rudolph W. Giuliani, *Toward a Realistic Peace*, Foreign Affairs, wrzesień – październik 2007 r.

Na razie, jednak, Amerykanie przede wszystkim czekają na koniec rządów George'a W. Busha. Pod koniec czerwca urzędujący prezydent doznał kolejnej porażki: po długich dyskusjach amerykański Senat postanowił w ogóle nie głosować nad reformą prawa imigracyjnego. W ten upokarzający sposób – senatorowie ani nie głosowali „za”, ani „przeciw”, po prostu odłożyli sprawę *ad Calendas Graecas* – upadła główna inicjatywa polityczna Busha, nad którą pracował przez ostatnie dwa lata. Po przegranych wyborach w 2006 r. (Republikanie stracili kontrolę nad obydwoma izbami Kongresu) to kolejny cios w prestiż prezydenta i dalsze osłabienie jego pozycji.

Ustawa imigracyjna to pierwsza od dwudziestu lat poważna próba uporania się z problemem 12 milionów nielegalnych imigrantów w USA, głównie z Meksyku i Ameryki Środkowej. W czasie ostrej debaty jeden z senatorów mówił nawet o „wojnie zwykłych Amerykanów ze swoim rządem”, bo dla wielu (zwłaszcza wśród Republikanów) to amnestia dla łamiących prawo, ale także obawa przed gwałtownym zwiększeniem liczby hiszpańskojęzycznych obywateli. Najgorzej wyszedł na tym prezydent: nie udało mu się dokonać ostatniej, wielkiej zmiany prawa przed upływem drugiej i ostatniej kadencji w Białym Domu. Inicjatywa dołączyła do innych szumnych zapowiedzi ze stycznia 2005 r., (tuż po reelekcji) - głębokiej reformy systemu ubezpieczeń socjalnych (połączonej z wprowadzeniem prywatnych kont inwestycyjnych) i ordynacji podatkowej oraz ograniczenia ilości pozwów o wielomilionowe odszkodowania, których nie udało się wprowadzić w życie. W ten sposób, na półtora roku przed końcem kadencji jest już tylko administrującym prezydentem (jak nazywają Amerykanie – *lame duck* czyli kulawy kaczor), mającym do tego przeciwko sobie opanowany przez Demokratów Kongres.

Także społeczna ocena Busha w siódmym roku prezydentury jest bardzo zła. Sondaże nieustannie wskazują, że jest najbardziej nielubianym przez rodaków prezydentem w najnowszej historii: przez ostatnie dwa i pół roku jego poparcie nie przekroczyło 50 proc., a obecny wskaźnik rzędu 30 proc., sytuuje go w towarzystwie prezydenta Nixona z czasów afery Watergate lub Cartera z okresu kryzysu paliwowego, gdy Amerykanie stali w kolejkach po benzynę. Jego administrację otacza atmosfera skandalu i ignorancji, umiejętnie podsycana przez polityków Partii Demokratycznej,

którzy poprzez Kongres wzięli się na serio do kontroli organów władzy wykonawczej. Nastrój w Białym Domu był w ostatnich miesiącach tak zły, że media ironizowały, że jedyną przyjemną chwilą była wyprawa do... Albanii, gdzie Bush był przyjmowany niezym bohater narodowy. Co gorsza, ów zły nastrój i poczucie frustracji zakorzeniły się głęboko wśród większości Amerykanów. Sondaże opinii publicznej pokazują nieustannie to samo: trzy czwarte badanych mówi, że ich kraj zmierza w złym kierunku. Największy odsetek od jedenastu lat. Brak osiągnięć legislacyjnych, nieustająca wojna z Demokratami i kontrolowanym przez nich Kongresem, bardzo złe nastroje społeczne – wszystko to sprawia, że jak zauważył jeden z komentatorów, przez ostatnie kilkanaście miesięcy rządów Busha mamy do czynienia z „administracją w agonii”.

Ostatni raz, kiedy Bushowi ufała ponad połowa Amerykanów to był styczeń 2005 r. Świeżo po wyborze na drugą kadencję prezydent zapewniał Amerykanów, że kraj ma się świetnie, a on sam traktuje swój wybór jako „mandat” i „polityczny kapitał” do przeprowadzenia poważnych reform. Jednak już po kilku miesiącach poparcie zaczęło ginać a Amerykanie zaczęli się odwracać od swojego prezydenta. Jednym z punktów zwrotnych była nieudolna akcja ratownicza po zniszczeniu przez huragan Karina Nowego Orleanu. Każdego dnia miliony Amerykanów śledziło na ekranach telewizorów obrazy, znane im dotychczas z przekazów z krajów Trzeciego Świata. I choć nieudolna akcja ratownicza była w dużej mierze efektem opieszałości władz stanowych, Bush stracił w oczach rodaków najwięcej: od tej pory przestali wierzyć, że jest człowiekiem czynu i sprawnym zarządcą wielkiej państwowej maszyny. Później prace rządu komplikowały różnego rodzaju skandale natury obyczajowej wśród polityków Partii Republikańskiej oraz liczne dochodzenia w sprawie preparowania informacji przy przygotowywaniu do inwazji Iraku. Jednak główny powód, dla którego administracja Busha i cała Ameryka znalazły się w obecnym punkcie – nazywa się Irak.

## IRACKI KOSZMAR

Można powiedzieć, że kwestia iracka wypełnia niemal całą atmosferę, w jakiej działają amerykańscy politycy. Operacja „Iraq Freedom” trwa już dłużej niż amerykańskie zmagania w czasie II wojny światowej a sukces jest odległy. Liczba zabitych żołnierzy przekroczyła w pierwszych dniach października 2007 r. 3,8 tys. zabitych, a drugi kwartał tego roku

był najkrwawszym od początku inwazji w 2003 r. Zwiększenie na początku roku liczby wojska do 157 tys. celem wprowadzenia trwałego bezpieczeństwa przyniosło jedynie połowiczne efekty. Nawet były głównodowodzący w Iraku, generał Ricardo Sanchez stwierdził publicznie, że administracja Busha wyruszyła na wojnę z „katastrofalnym” i „nie liczącym się z realiami, super-optimistycznym” planem, pozostawiając Amerykanom „koszmar bez wyjścia”. Emerytowany generał zarzucił administracji Busha „niekompetencję”, nazywając ostatnie zwiększenie liczebności wojsk w Iraku, „desperacką próbą administracji, która nie jest w stanie zaakceptować politycznych i ekonomicznych realiów tej wojny”.<sup>7</sup>

Jak już wspomniano, Demokraci wyjście z Iraku uczynili jednym ze swoich głównych haseł wyborczych. Dzięki temu udało im się w zeszłym roku przejąć kontrolę nad obiema izbami Kongresu. Co prawda, prezydent Bush nie tylko zablokował plany Demokratów w Kongresie obniżenia funduszy na wojnę i wyznaczenia konkretnej daty (jesień 2007 r.) wycofywania amerykańskich wojsk z Iraku a nawet udało mu się przeforsować zwiększenie kontyngentu, to opór przeciw zaangażowaniu nad Eufratem stale rośnie.

Doszło do tego, że w czerwcu pomysł utrzymywania w Iraku tak wielkiej ilości wojska publicznie skrytykowała dwóch senatorów Partii Republikańskiej, dotychczas wiernie wspierających prezydenta lub przynajmniej powstrzymujących się od publicznych reakcji. Najbardziej musiały zirytować słowa najwyższego rangą przedstawiciela komisji spraw zagranicznych, senatora Richarda Lugar, że „działania w Iraku rozmiągają się z interesami USA na Bliskim Wschodzie i poza nim”, a dalsze „odwlekanie planowanego przemieszczenia” wojsk z Iraku grozi tym, że nie będzie to operacja zakończona sukcesem. Zwłaszcza, że zakończenie operacji w Iraku przynajmniej częściowym sukcesem stało się prawdziwą obsesją Busha. Jedna z gazet cytuje anonimowego doradcę prezydenta, który twierdzi, że „nie liczy się nie poza wojną, wszystko inne zależy od tego”.

## CO DALEJ?

W swoim eseju „Życie po Bushu”<sup>8</sup> znany amerykański publicysta międzynarodowy Fareed Zakaria (swego czasu nazwał kierowaną przez Busha Amerykę „aroganckim hegemonem”) pisze, że podstawowym problemem

nowego prezydenta i jego administracji będzie pokonanie „konsekwencji polityki zagranicznej opartej na strachu” Busha, która przez ostatnie sześć lat spowodowała, że USA „odtrąciły sojuszników, ośmieliły wrogów, a przy tym rozwiązały niewiele wyzwań, jakie stoją przed nimi w polityce zagranicznej”. Zdaniem Zakarii, bez rozwiązania kwestii Iraku władze Stanów Zjednoczonych „nie będą miały czasu, energii, kapitału politycznego i środków”, aby zająć się czymś innym. Obecne wydarzenia stanowią potwierdzenie tej tezy. Uwięzione w irackim konflikcie Stany Zjednoczone nie wiedzą, jak rozwiązać kwestię szybko dążącego do uzyskania broni nuklearnej Iranu. Na Bliskim Wschodzie wciąż nie ma rozwiązania dla konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Dodatkowo chaos zapanował w Libanie. Prezydent Władimir Putin i jego współpracownicy coraz częściej wybierają konfrontacyjny ton wobec Waszyngtonu (np. groźby rozmieszczenia nowocześniejszych rakiet w Okręgu Kaliningradzkim, czy zamienienia Europy w „kupę prochu” w przypadku zainstalowania elementów tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach), świadomi że „iracka pomyłka” w znaczny sposób „osłabiła globalną rolę USA”.<sup>9</sup> Nadwerżone przez akcję w Iraku stosunki z Europą stale się poprawiają, jednak naprawienie szkód wyrządzonych dzieleniem Europejczyków przez administrację Busha na „nowych” i „starych” potrwa jeszcze jakiś czas.

Dla byłego doradcy prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa profesora Zbigniewa Brzezińskiego głównym skutkiem „katastrofalnego przywództwa” Busha jest pozostawienie w świecie wrażenia, że głównym symbolem Ameryki jest baza w Guantanamo. Jeśli zaś następcą obecnego prezydenta nie podejmie energicznych kroków na rzecz odbudowy politycznej i moralnej siły Ameryki, to „amerykańskiemu supermocarstwu grozi

---

7) Josh White, *Ex-Commander in Iraq Faults War Strategy*, Washington Post z 14 października 2007 r.

8) Fareed Zakaria, *Życie po Bushu*, Newsweek Polska, 17 czerwca 2007 r.

9) Wyrazicielem takich poglądów jest jeden z głównych doradców na Kremlu, Siergiej Karaganow. Ostatnio (w wywiadzie dla „Dziennika” z 2 lipca br.) mówił także o innych konsekwencjach nieudanej operacji w Iraku: osłabieniu polityki zagranicznej i oddziaływania tzw. soft power USA. W jego ocenie USA potrzebuje 5-6 lat na odbudowanie swej pozycji i Rosja zamierza przez ten czas prowadzić twardą politykę zagraniczną.

śmiertelny kryzys”.<sup>10</sup> Czytaj: czasy wydawałoby się nieograniczonej, jednostronnej dominacji USA po upadku ZSRR szybko pójdą w zapomnienie. (Co ciekawe, profesor Brzezinski wsparł w kampanii Baracka Obamę).

Nieco więcej optymizmu wykazuje znany analityk Robert Kagan, sugerując że nawet klęska w Iraku nie powinna zagrozić amerykańskiej dominacji, gdyż Waszyngton potrzebny jest jako sojusznik chociażby tym krajom, które obawiają się nadmiernych aspiracji Chin czy Rosji. Oczywiście, kluczem jest wola samych Amerykanów, gdyż jak pisze Kagan „supermocarstwo może przegrać wojnę – jak w Wietnamie czy Iraku – i przez to nie przestaje być supermocarstwem tak długo, aż amerykańska opinia publiczna będzie popierać panowanie Ameryki w świecie”<sup>11</sup>.

Problem w tym, że wszystkie badania opinii publicznej wskazują na wielką frustrację i niepokój Amerykanów: aż trzy czwarte z nich nie jest zadowolonych z kierunku, w jakim obecnie zmierza ich kraj, a dwie trzecie nie akceptuje polityki obecnego prezydenta i Kongresu. Jednak i tutaj jest światelko w tunelu: w listopadzie 2008 r. odbędą się wybory, podczas których Amerykanie wybiorą nowego lokatora Białego Domu i odświeżą skład swojego parlamentu.

---

11) *The Hobbled Hegemon*, *The Economist*, 30 czerwca 2007 r.